

JACEK
FEDOROWICZ

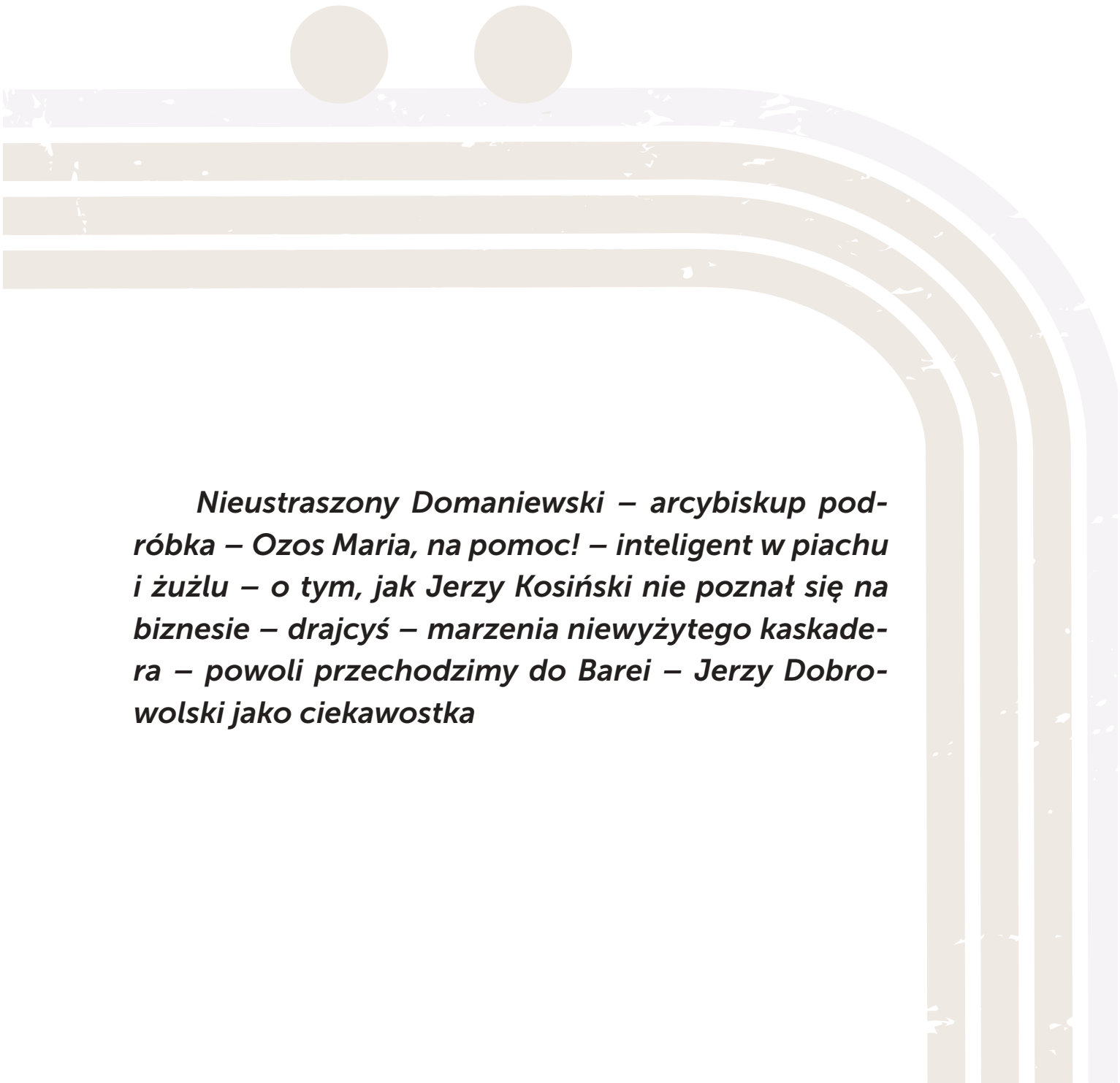
Mistrz Offu



[fragment książki](#)

ROZDZIAŁ 5

czyli **K A S K A D E R N A O F F I E**



Nieustraszony Domaniewski – arcybiskup podróbka – Ozos Maria, na pomoc! – inteligent w piachu i żużlu – o tym, jak Jerzy Kosiński nie poznał się na biznesie – drajcyś – marzenia niewyżytego kaskadera – powoli przechodzimy do Barei – Jerzy Dobrowolski jako ciekawostka

Scenariusz komedii sportowej *Motodrama* napisał Tomasz Domaniewski, wtedy stały felietonista bardzo popularnego „Expressu Wieczornego”, miłośnik motoryzacji, zwycięzca pierwszych po wojnie mistrzostw rajdowych dziennikarzy, człowiek bardzo życzliwy światu i dowcipny. Niestety namiętny palacz extra mocnych, co go później zgubiło.



Kiedy po kolejnym zawale serca prosiło się go: „Tomek, nie pal tyle”...



...odpowiadał niezmiennie: „W każdej chwili mogę rzucić” – i nie rzucał. Ale wypowiadał to zdanie z taką pewnością siebie, że uspokajał przyjaciół, którzy przez chwilę sądzili, że rzeczywiście zaraz zerwie z nałogiem.



Obok papierosów na jego biurku wałało się zawsze mrowie porzucanych małych karteczek, o których mówił pieszczotliwie „sklerozki” – zapisywał na nich bieżące sprawy do załatwienia. Do socjalizmu stosunek miał prawidłowy; kiedy dziesięć lat później, w stanie wojennym, realizowałem zamówienie na wywiad dla Wolnej Europy (byłem szczęśliwym posiadaczem służbowego magnetofonu wysokiej klasy i umiałem go obsługiwać) z ukrywającym się Zbyszkiem Bujakiem – wówczas najważniejszym szefem podziemia – i kiedy podprowadzono mnie pod tajemne miejsce spotkania, zobaczyłem, że będę nagrywał Zbyszka wśród dobrze mi znanych „sklerozek” przy biurku redaktora Domaniewskiego, w jego domu na Żoliborzu. Tam właśnie wtedy mieszkał Bujak. Dom Tomka na Barcickiej był jednym z miejsc

w stanie wojennym zaoferowanych podziemiu dla ukrywających się „Solidarnościowców”. I z pożytkiem „dla Sprawy” wykorzystanym.

Motodrama wprost socjalizmu nie atakowała, na to wydawało się jeszcze trochę za wcześnie, ale z odpowiednią dozą złośliwości opowiadała o stosunkach w sporcie motorowym. Środowisko działaczy sportowych znał Domaniewski doskonale, było ono barwne wyjątkowo, jak również dość wredne. Pretekstem do pokazania panoramy zdarzeń i postaci stał się główny bohater opowieści, skromny urzędnik, który nagle objawia talent zawodniczy we wszystkich możliwych dyscyplinach sportowych, byle tylko polegały na tym, że człowiek jedzie czymś, co ma koła i warczy. Motocykle crossowe, żuźlowe, potem samochody rajdowe – quadów wtedy jeszcze nie było. Reżyserować miał Andrzej Konic. Na warczących pojazdach kołowych miałem jeździć ja. Jako ten główny bohater, czyli na niby, a naprawdę mieli jeździć kaskaderzy, czyli odwrotnie jak w scenariuszu Tyma dla Gołasa.



Po przeczytaniu scenariusza miałem szereg zastrzeżeń i wątpliwości, ale myśl, że oto wreszcie już nie Przyjaciół Głównego Bohatera, tylko sam Główny, skutecznie tłumila wszelkie grymasy. Scenarzystę znałem zresztą od dawna z jego twórczości, to wydać się może nieprawdopodobne, ale Tomasza Domaniewskiego jako przedowcipnie piszącego autora zapamiętałem w wieku lat dziesięciu (!) i to na całe życie. Naprawdę. Do dziś pamiętam scenę, gdy mój ojciec mówi: „Coś wam przeczytam”, my z mamą siadamy w fotelach i po chwili turlamy się ze śmiechu. W „Przekroju”, który przed „rewolucją kulturalną”, czyli przed wprowadzeniem w 1948 roku pełnego zamordyzmu, był świetnym tygodnikiem, Domaniewski opublikował opowiadanie o tym, jak to polscy oficerowie wyzwoleni z oflagi przez aliantów, wyzwoleni, ale nieobdarowani jeszcze pełną swobodą przemieszczania się, udają orszak arcybiskupa i kawalkadą odpowiednio udekorowanych samochodów wyjeżdżają z Niemiec, rzucając najpierw kolejne armie, a potem całą Belgię na kolana. W tej chwili jeszcze, pisząc o tym, uśmiecham się na samo wspomnienie tej historyjki i tego, jak reagowaliśmy z mamą na tekst czytany przez ojca.

Ojcu zresztą opowiadanie było bardzo bliskie, bo też siedział w oflagi i po wyzwoleniu przez aliantów przedostawał się jakimiś sposobami do Anglii. Domaniewski pisał językiem prostym, jego żarty były komunikatywne dla odbiorcy na każdym poziomie, proste, co nie znaczy prostackie, uchowaj Boże.

Po dokładnym zapoznaniu się ze scenariuszem *Motodramy* jako artysta pracowity, obowiązkowy i ambitny natychmiast zacząłem przygotowywać się do roli. Nie uczenie się tekstu na pamięć, skąd! To – wiedziałem – nie będzie problemem. Postanowiłem w krótkim czasie osiągnąć poziom zawodniczy w jeździe na motocyklu crossowym.

O ja naiwny!...

Tomek załatwił maszynę, pod jego okiem, a także właściciela maszyny udaliśmy się na skraj Lasu Bielańskiego, gdzie liczne

dołki, górki i inne wertepy, wtedy jeszcze występujące tam obficie, pozwalały na spróbowanie sił. Dość szybko się przekonałem, że rzecz nie jest prosta. Tomek też się przekonał, choć pewnie i tak przedtem wiedział, że osobiście w filmie zawodnika udawać nie zdołam, a crossowo utalentowanego już na pewno nie, ale ogólnie egzamin i tak musiał wypaść nieźle, bo Tomek nie zgłaszał obaw co do przyszłych scen z moim udziałem, w których będę musiał a to podjechać na start, a to do parku maszyn, zapalić maszynę, zgasić, ewentualnie dodać gazu na atrapie motocykla podczas tak zwanej tylnej projekcji. To taka absolutnie przedpotopowa technika kręcenia zdjęć niebezpiecznych w warunkach cieplarnianych: aktor dramatycznie pochylony nad kierownicą auta, na przykład, włos mu rozwiewa wentylator, za aktorem ekran, a na ekranie umykająca w zawrotnym tempie perspektywa szosy. Mając dzisiejszą wiedzę o możliwościach technik filmowych, z trudem przyjmuje się do wiadomości, że coś takiego mogło być stosowane w poważnej, profesjonalnej kinematografii jeszcze zaledwie czterdzieści parę lat temu. A ja w tym uczestniczyłem i efekt ekranowy oglądałem zawsze ze zgrozą. I to nie dlatego, że przerażała mnie ta szybkość, tylko ten prymityw realizacyjny.

Już w okresie zdjęciowym, korzystając z tego, że kręcimy scenę startu na wrocławskim torze crossowym, że mam motocykl pod parą i kuszące wertepy, postanowiłem, że spróbuję wykonać skok na crossówce. Jeździć umiałem, ale zawsze z co najmniej jednym kołem utrzymującym kontakt z podłożem. A zawodnicy wykonywali wspaniałe skoki, wybiwszy się ze szczytu górki jak z progu skoczni narciarskiej, lecieli po kilka, a może i kilkanaście metrów w powietrzu. Przyglądałem im się pilnie, a potem cichaczem (o ile tak można powiedzieć o niespecjalnie wytłumionym motocyklu) odjechałem, kierując się w stronę niezaludnionego kawałka toru. Tam przed kolejną górką ostro dodałem gazu, wybiłem się w powietrze, wybiwszy, obsunąłem się na tylny błotnik

i nie mogąc wyprostowaną ręką przykręcić manetki gazu, wylądowałem tylnym kołem z manetką odkręconą na pełny gaz, skutkiem czego motocykl wyrwał się spode mnie gwałtownie i o ile sobie przypominam, wyskoczył w górę ponownie, po czym fiknął kozła już beze mnie i wylądował. Nie na mnie, choć mało brakowało. „O ile sobie przypominam” – to nie znaczy, że na starość wylatują mi z pamięci tak dramatyczne przeżycia. Nie, ja, leżąc wtedy na ziemi, już nie za bardzo sobie przypominałem, co się właściwie stało w poprzednich sekundach. O tym błotniku i manetce to tylko hipotezy, próby odtworzenia wyczynu post factum, niekoniecznie zgodne z faktami. Chyba nikt zdarzenia nie widział, na szczęście, choć szkoda, że już nigdy się nie dowiem, jak to było. Na plan wróciłem mocno potłuczony, z postanowieniem, że więcej już nie będę próbował.

OBRAZEK
HIPOTETYCZNY







Niedługo potem zaczęło się kręcenie ujęcia podjazdu zawodników na start i w nim zostałem przez los surowo ukarany za przesadne ambicje: oto jednym z podejżdżających na linię startu jest grający zawodnika Bohdan Łazuka. Ja może nie umiałem na motocyklu skakać, za to jeździć umiałem, natomiast Bohdan w ogóle nie umiał jeździć i chyba do dziś nie umie, ale doturlał się jakoś na ten start, po mistrzowsku grając – bo aktorem jest świetnym – nonszalancki podjazd wytrawnego crossowca. Ironia losu polegała na tym, że to ujęcie weszło do filmu i choć wszystkich nas dublowali na torze prawdziwi zawodnicy (wspaniali zresztą, mój był wręcz wybitnie uzdolniony cyrkowo) – jedno jedyne ujęcie, w którym aktor jedzie naprawdę i które weszło do filmu, to właśnie ten podjazd Bohdana. Z moich, licznych dość – żadne. Bo ujęć na przedpotopowym motorowerze (szybkość maksymalna 15 km/godz. z wiatrem w plecy) nie liczę. Przerost ambicji został ukarany.



Nieudany skok sprawił, że wciąż byłem niespełniony jako domorośli akrobata i usiłowałem popisać się w innej scenie, na torze żużlowym – był to kolejny etap zawodniczej kariery bohatera – korzystając z tego, że scena nie wymagała żadnych umiejętności związanych z jeżdżeniem, odwrotnie, trzeba było opuścić motocykl. Postanowiłem zrobić to efektownie. Zacząłem



przekonywać reżysera, że na pewno nic sobie nie zrobię, dodawałem argument, że przecież skórzany kombinezon żuźlowca daje gwarancję, że zadrapań nie będzie, a kończyny żadnej nie złamałem sobie nigdy, co świadczy nie tylko o mocnych kościach, ale i o tym, że umiem się przewracać. Na wszelki wypadek nie dodawałem, że tę właśnie umiejętność mam, bo wciąż się przewracam,

a przewracam się tak często, bo się ciągle potykam, a potykam się, bo słabo widzę. Nie powoływałem się też na niedawny przykład bezpiecznego upadku po fikołku crossówki, bo podejrzewałem, że ten argument może nie zadziałać.

Andrzej Konic się zgodził.

– Dobrze. Motocykl na platformie ciągniętej przez samochód, ty na motocyklu, przedtem wmontujemy ujęcie, jak pęka rama nad przednim kołem podpiłowana przez Bohdana. – Mój filmowy konkurent Bohdan był czarnym charakterem. – Na znak skaczesz, a motor się potem rozbija. Jeden dubel. Jak nie wyjdzie, przebieramy kaskadera.

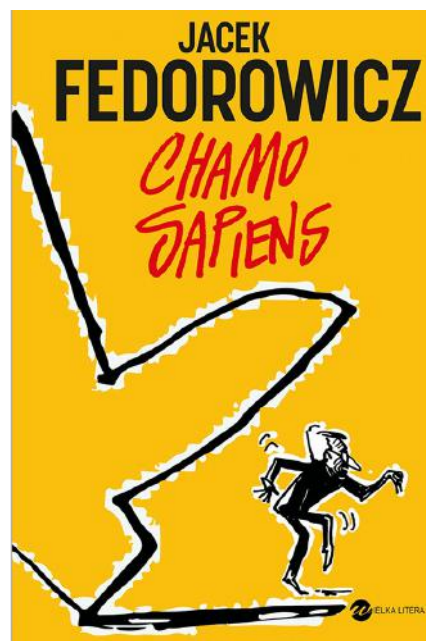
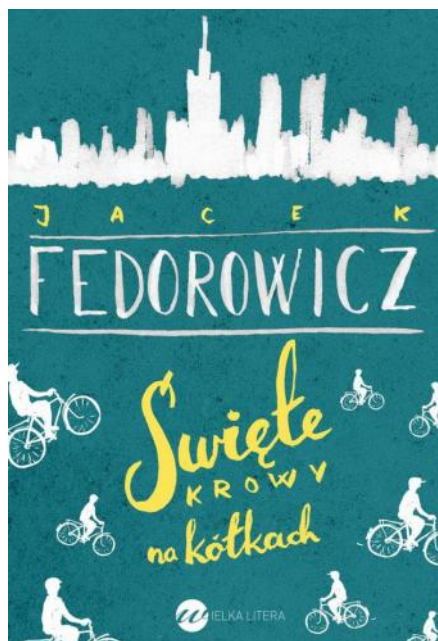
Wezmą kaskadera, bo mnie nie wyjdzie? Niedoczekanie!

Pojechałem na tej platformie, samochód się rozpędził, jak mnie potem zapewniał kierowca, do pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, znak szwenkiera, skoczyłem, starając się lądować na nogach odrobinę wcześniej niż na rękach i zaraz potem poturlać się po torze zgodnie z kierunkiem jazdy samochodu, by wygubić pęd. Udało się! Ani siniaka. Tor żuźlowy jest miękki na szczęście, a sam skok wyszedł zgodnie z planem. Dumny byłem z siebie bardzo, ale tylko do pierwszej projekcji wywołanych materiałów. Na ekranie zobaczyłem zupełnie nieefektywne ześlizgnięcie się żuźłowca z jego maszyny, mieszczące się w granicach możliwości każdego przeciętnego obywatela, który nie bałby się, że ubrudzi sobie ubranie na torze.

Takie oto przykrości spotykają przesadnie ambitnych inteligentów drobnej postury, którzy marzą, żeby choć na chwilę stać się tarzanami.



Mogą Cię także zainteresować:



Sprawdź nasze [NOWOŚCI](#)
Zapraszamy na wielkalitera.pl